CENY PRENUMERATY:
We Lwowie: miesięcznie . . . . . 2 korony
Za codz. dwukrotną dostawę dopłaca się 60 hal.
Z jednokr. przesyłką w kraju i monarchii:
mies. K 2·70, kwart. K 8·—, rocznie K 32·—
Z dwukrotną przesyłką pocztową:
mies. K 3·20, kwart. K 9·50, rocznie K 38·—
W Niemczech miesięcznie . . . . . . K 4·—
W innych państwach Związku . . . . K 5·—

GAZETA WIECZORNA

CENY OGŁOSZEŃ:
Wiersz petitowy jednołamowy lub jego miejsce 24 hal. — Nadesłane za wiersz petitowy lub jego miejsce 80 hal. — Po kronice i przed tekstem wiersz petitowy 2 korony.
Nekrologia za wiersz 60 hal.
Drobne ogłoszenia po 6 hal. za wyraz — najmniej 60 halerzy. Wyrazy tłustemi czcionkami liczą się podwójnie.

wychodzi dwa razy dziennie: o godzinie 2-giej po południu i o godzinie 6-tej rano („Gazeta Poranna“).

Nr. 2063. Lwów, piątek dnia 11. września 1914 Rok IV.

Cena egzemplarza 4 halerze.

Armaty mówią...

Lwów, 11 września.

Od szeregu dni, od dwu prawie tygodni, rozbrzmiewa okolica Lwowa odgłosem bitwy. Do niedawna dochodził huk dział od wschodu, dziś słyszy się go z zachodu. Raz głośniej, raz ciszej. A ludność miasta przywykła już tak do tego ponurego dźwięku, tak się z nim oswoiła, że chwilowa cisza, świadcząca o przerwach w akcyi stron walczących, wywołuje niepokój, który ustaje dopiero wówczas, gdy znowu doleci odgłos tej strasznej rozmowy.

Bardzo wielu nie wystarcza wsłuchiwanie się w mieście w donośny głos bijących armat, więc idą za rogatki miasta, bądź na wzgórza janowskie, czy kleparowskie, bądź w stronę Kulparkowa, aby być bliżej terenu walki i z względnie wysoko położonych „obserwatoryów“ patrzeć w dal a nie mogąc nic pozytywnego dostrzec, puścić wodze fantazyi i imaginować sobie obraz potwornej walki.

Dziś zapewne znowu posuną w te strony liczne zastępy mieszkańców, bo od wczesnego bardzo rana dochodzi do miasta donośny — jakby bardzo już bliski — huk armat.

U prof. Barącza.

Lwów, 11 września.

Jeden z członków naszej redakcyi miał wczoraj sposobność rozmawiać z prof. drem Barączem. Jak wiadomo, został prof. Barącz w swoim czasie powołany na stanowisko naczelnego lekarza oddziału chirurgicznego w garnizonowym szpitalu we Lwowie. Na stanowisku tem pozostał prof. Barącz i obecnie, po wkroczeniu wojsk rosyjskich i z wielkiem poświęceniem i pełnem zaparciem się spełnia dalej swe samarytańskie obowiązki.

Rozmowa zeszła oczywiście na najaktualniejszy dziś temat, na sprawę rannych, przytransportowanych świeżo do Lwowa z pobliskiego pola walki. **Liczbę tych rannych oblicza prof. Barącz na około 8.000**, co zresztą wobec olbrzymiej liczby walczących po obu stronach wojsk nie jest liczbą zbyt wysoką.

Wśród przywiezionych do Lwowa ofiar wielkiej bitwy jest znowu duży procent lekko rannych, których przeważnie — po opatrzeniu — wyprawia się poza Lwów, w spokojniejsze okolice, aby tu zrobili miejsce nowym, wciąż nadchodzącym transportom. **Procent ciężko rannych jest jednak stosunkowo większy**, niż bywał w poprzednich dniach.

Wśród ciężko rannych ma bardzo wielu rany **postrzałowe w głowę, dalej postrzały w brzuch, oraz silne uszkodzenie nóg i rąk**; przy tej ostatniej kategoryi ran zachodzi bardzo często **konieczność amputacyi** z powodu zakażenia krwi.

Ludowe kuchnie.

Na wczorajszem posiedzeniu Rady miejskiej wiceprez. dr. Schleicher zawiadomił, że w porozumieniu z miejską komisyą ubogich zorganizowano 11 kuchni ludowych bezpłatnych.

Kuchnie te mieszczą się w następujących domach: 1) przy ul. Ossolińskich 11, 2) ul. Akademicka 5, 3) ul. Grodecka 19, 4) ul. Zamarstynowska 48, 5) ul. Łyczakowska 21, 6) ul. Dąbrowskiego, róg ul. Pułaskiego, 7) ul. Zielona 18, 8) ul. Sobieskiego 30, 9) ul. Zamarstynowska 31; 10. ul. Bernsteina w Jad Charuzim (kuchnia żydowska), 11) ul. Teatralna 23 (kuchnia żydowska).

We wszystkich tych kuchniach otrzymywać będą ubodzy obiad (zupę i chleb) i herbatę. Każda kuchnia otrzymuje z magistratu codzień 100 bochenków chleba i potrzebne materyały kuchenne.

Wydaje się żywność w kuchniach jedynie za asygnatą, uzyskaną od opiekunów ubogich. Prócz tego gmina dostarczyła pewnej ilości artykułów spożywczych Tow. św. Wincentego a Paulo.

Dziś ma się zebrać komisya ubogich, która zastanowi się nad dalszą organizacyą tej akcyi. Prawdopodobnie otwarte będą dalsze kuchnie ludowe, gdyż 11 kuchni nie wystarczy wobec ogromnej masy ubogich i głodnych.

KRONIKA.

Wezwanie w sprawie zgłaszania się oficerów i obowiązanych wojskowo armii austro-węgierskiej odnosi się — jak nas poinformowano w miarodajnych kołach — tylko do tych, którzy służyli w wojsku obecnie lub byli powołani, a z pewnych powodów zostali we Lwowie. Do wszystkich tych, których mobilizacya austro-węgier. nie powołała, (a więc wszystkich tzw. Waffenunfähig), wezwanie to się nie odnosi.

Oznaka dla aeroplanów rosyjskich. Wydział lotniczy przy głównym zarządzie rosyjskiego sztabu generalnego wydał zarządzenie, by rosyjskie aeroplany posiadały specyalną oznakę: mianowicie na spodniej części aeroplanu ma być wymalowana przez całą szerokość ozdoba trójbarwna w kolorach państwowych, a w środku jej ma być wymalowany biały krąg okolony niebieskiem i czerwonem kołem. Na balonach winna być wywieszona rosyjska flaga lotnicza, mianowicie biały kwadrat z czerwonemi kotwicami w lewym górnym rogu i w prawym dolnym rogu.

W zakładach naukowych im. H. Niedziałkowskiej nauka szkolna rozpocznie się w sobotę dnia 12 b. m. o godz. 9 rano. Dalsze zgłoszenia uczenic i uczniów, którzy uczęszczać mogą do gimnazyum w charakterze hospitantów, przyjmuje dyrekcya w godzinach urzędowych. Konferencya grona nauczycielskiego odbędzie się w niedzielę o godz. 11 rano.

Na sprzedaż piwa zezwolił gubernator hr. Szeremetiew w 15 pierwszorzędnych restauracyach, między innemi w hotelu Żorża, w „Zakopanem, u Królikiewicza, w hotelu Francuskim, u Lasockiego i Musiałowicza.

Bramy kamieniczne mają być od dziś otwarte do godziny 10-tej w nocy. Jest to dowodem, że w mieście żadnej przyczyny do obaw nie ma, a wzniecanie przez nieznane indywidua paniki, są zupełnie nieuzasadnione.

Bezpłatne obiady. Staraniem komitetu pań żydowskich urządzono w dzielnicy żydowskiej kuchnię publiczną, w której wydają codziennie po 600 obiadów. Korzysta z nich ludność przeważnie z miast prowincyonalnych; po ewakuacyi tych miast, przyjechało do Lwowa wiele rodzin; bieda wśród nich wielka.

Automobil dla J. E. Gubernatora wojennego. Poszukuje się automobilu prywatnego dla J. E. Pana Gubernatora wojennego. Automobil zostanie komisyjnie oszacowany i zapłacony. Gdyby odkryto we Lwowie automobil prywatny, którego nie zgłoszono, to automobil zostanie skonfiskowany na rzecz wojska. Należy co rychlej zgłosić się w Prezydyum Magistratu w ratuszu.

We Lwowie, dnia 10 września 1914.

Rutowski m. p.

Nowe ostre zarządzenie. Zdarzyło się kilka wypadków w mieście naszem, że uszkodzono druty telegraficzne, które wojska rosyjskie przeprowadziły wzdłuż niektórych ulic ponad chodnikami.

Wobec tego dziś gubernator hr. Szeremetijew wydał zarządzenie, że każdy kto uszkodzi druty telegraficzne lub będzie usiłował z nimi dokonać jakiejś manipulacyi stawiony będzie przed sąd wojenny. Nadto odpowiedzialny jest każdy właściciel realności za całość przewodów, znajdujących się obok jego realności i w razie uszkodzenia drutów także oddany będzie pod sąd wojenny. Właściciele realności mają czuwać nad urządzeniami telefonicznemi a ewentualnych sprawców uszkodzenia przytrzymać i odstawić do komendy wojskowej.

Żniwo wojny.

Wieźli ich wczoraj długim korowodem kędyś od rogatki stryjskiej przez ulicę Jabłonowskich: długim bolesnym korowodem krwi i cierpienia. Jechały jedna za drugą powoli podwody chłopskie, wioząc smutny ładunek: dwudniowe żniwo wojny, żniwo bitwy, stoczonej i toczącej się jeszcze gdzieś pod Szczercem czy Mikołajowem. Drabiniaste wozy, zaprzężone w małe, wytrwałe koniki, nie takie zbiory zwykły o tym czasie zwozić do stodół przestronnych, nie pod takim uginać się ciężarem.

...Złote kłosy, powiązane w snopy ziarnem ciężkie, czerwieniejące w słońcu, jak maki, jaskrawe spódnice dziewuch, pieśń, dzwoniąca po polach do taktu sierpom i kosom, bydło na ścierniskach wesoło porykujące, i ścierniska same, te złoto-szare, ukochane nasze ścierniska polskie, po których wiatr wieczorami nosi odgłos dalekich dzwonów wioskowych,

to wszystko było kiedyś bardzo dawno temu, nie pamiętam dobrze kiedy. Może wczoraj, może przed laty, gdy byłem młody, a może wogóle nie było, tylko przyśniło mi się w jakimś szalonym nieprawdopodobnym śnie dziecięcym...

Bo teraz nikt nie wie, nikt nie słyszał o kłosach chlebnych. Te, które pokotem zalegają nasze pola i łąki w tym roku przesmutnym, to poczerniałe od znoju wojennego krwawe kłosy ludzkie. Nie sierp zwinny je zagarnął, ale celna kula karabinowa, nie kosa podcięła dojrzałe, ale syczący szrapnel. Leżą teraz obok siebie cicho, wiatrem przygnane dalekim z różnych obcych stron świata: żniwo śmierci.

Nie znali się wzajemnie, nie chcieliby nic złego sobie uczynić. Poczciwy, tyrolski chłopek, dla którego przedpotopowej flinty kozica jeno dodąt celem była i mołojec stepowy, który hen daleko na Ukrainie stanicę swoją zostawił, a przejechał tyle wiorst — któż przeliczyć je zdoła? — aby zabić nieznanego sobie człowieka... Tylko po to!...

Postawili go na pustem polu, strzelać kazali wraz z innymi, potem ryknęły armaty...

A teraz leży na wozie, przykryty brązowym swym szynelem i ruszyć się nie może, bo go w w piersiach jak ogniem pali. Koło niego jęczy strasznie brodaty wiarus w jasno siwem ubraniu. Takaż czapka zsunęła mu się na jedno ucho, jakby buńczucznie: nieprzyjaciel! tylko, że teraz nie groźny, wcale niesrogi. Oczy przymknął, zdrową ręką przytrzymuje nogę, od góry do dołu jednym krwawym bandażem owinięta. Głowa przy każdem wstrząśnieniu wozu po nierównej, kamienistej drodze, boleśnie mu się kołacze, bezwładna, jakby nieżywa. Nagle oczy z pod brwi krzaczastych zabłysły jakieś straszne. Jęk okropny wyrwał się z piersi chorego i rozwarł spieczone gorączką opuchłe jego usta. Koło wozu zaczepiło o większy kamień, podważając tem samem nieludzkie cierpienia nieszczęśliwych ofiar. Ruski „izwoszczyk“, zmęczony i zmizerowany na równi z rannymi zwalnia jeszcze i tak już powolny chód koników. Chciałby o ile możności ulżyć tym, co leżą za nim, choć jeden wprawdzie „swój“, ale z jakiejś dalekiej gubernii, a drugi niby nieprzyjaciel. Ale teraz to wszystko jedno.

Tak samo myślą i przechodnie, bo bez żadnego względu na to, w jaki kto przyodziany mundur, podają rannym mleko, wodę, owoce i żywność. Publiczność lwowska stara się o ile możności ukoić ból żołnierzom, miękką dłoń położyć na ich ranach... chce im być matką, która czule przygarnia do serca schorzałego syna.

A oni jadą i jadą. Na trzęsących wozach, na twardej słomie wynędzniałe ich postaci, nakryte bądź siwemi, bądź brązowemi burkami chybocą się bezsilnie. Tylko oczy błyszczą niesamowicie, to błagalnie, to przepełnione nieludzkim bólem, to znowu jakby pogrążone w błogiem zapomnieniu.

Może tym biedakom marzy się rola ojczysta i sprzęt zboża, może zdaje im się, że na wozie naładowanym sianem, albo ostatnimi snopami owsa lub jęczmienia jadą oto w słoneczne jesienne popołudnie po nierównem ściernisku ku pochylonej strzesze stodoły. Trzęsie trochę, ale to nic. Siwki dobrze znają drogę przez miedzę sąsiada, a potem już tylko kawałek gościńca i wąską, wyboistą dróżką prosto na obejście.

A tam spracowanych czeka już wieczerza, stoi na przypiecku misa dymiących klusek ze serem i mleko. Oto stanęli. Zrzucać trzeba snopy...

I wraz w białym płaszczu staje przy wozie lekarz otoczony sanitaryuszami. Podnoszą rannego ostrożnie, powoli i niosą do wnętrza dużego, białego gmachu, gdzie dużo stoi łóżek, a na wszystkich leżą poranieni żołnierze: żniwo wojny...

H. B.

Wsiewołod Garszin 2

Cztery dni.

(Opowiadanie żołnierza.)

Tłumaczył Sydor Twerdochlib

(Ciąg dalszy).

W chwili, gdy usiłuję się położyć, szeroka, blada smuga księżycowej poświaty jasno osrebrza miejsce, gdzie leżę, i oto spostrzegam, że kształt jakiś ciemny i duży leży o pięć kroków odemnie. Gdzieniegdzie lśnią na nim blaski z księżycowego światła. To guziki lub też ładunki. Jest to trup, albo raniony.

To wszystko jedno, położę się...

Nie, to niemożebne. Nasi nie uciekli. Oni są tutaj, wyparli Turków i pozostali na tem stanowisku. Czemuż nie słychać głosów, ni trzasku ognisk? Pewnie z osłabienia nie słyszę niczego. Oni tu są, być muszą.

— Pomocy!... Ratunku!

Dzikie, szalone, ochrypłe wycia wydzierają mi się z piersi a znikąd odpowiedzi. Donośnie rozlegają się one w nocnem powietrzu. Zresztą wszystko milczy. Pasikoniki tylko ćwierkają wytrwale bez przerwy. Księżyc litośnie patrzy na mnie owalną twarzą.

Jeśliby on był raniony, to ocknąłby się od takiego krzyku. To trup. Nasz czy Turek? Ach, mój Boże! Czyliż to nie wszystko jedno?... I sen osnuwa moje rozognione oczy.

Leżę z otwartemi oczami, chociaż obudziłem się już dawno. Wolę nieotwierać oczu, bo na stulonych powiekach czuję światło słoneczne i jeśli odsłonię oczy, będzie ono je kłuło. Tak, lepiej nie drgnąć nawet... Wczoraj (wszak to było wczoraj?) zostałem raniony; przeszła doba, przejdzie ich jeszcze kilka, umrę. Wszystko jedno. Lepiej nie drgnąć nawet. Niechaj ciało drętwieje. Jakby to było dobrze, gdyby można wstrzymać pracę mózgu. Ale tego niczem nie przerwać. Myśli wspomnienia tłoczą się w głowie. Zresztą wszystko to już niedługo, wnet się skończy. Pozostanie tylko w dziennikach krótka wzmianka, że straty nasze nieznaczne: ranionych tylu a tylu; zabity szeregowiec z liczby ochotników, Iwanow. — Skądże, nawet nazwiska nie wymienią; powiedzą poprostu: zabity jeden. Jeden szeregowiec, ni to jeden pies!

Cały obraz rysuje się jaskrawie w mojej wyobraźni. Dawno to było; zresztą, wszystko, całe życie moje, tamto życie, kiedy nie leżałem tu jeszcze z przestrzelonemi nogami, było tak dawno... Szedłem ulicą, wzrastająca gromada ludzi zatrzymała mnie. Tłum stał i niemo przypatrywał się jakiemuś białemu, zlanemu krwią, żałośnie skowyczącemu stworzeniu. Był to ładny mały pies: przejechał go tramwaj. Umierał tak samo, jak ja teraz. Jakiś stróż przecisnął się przez tłum, wziął psa za kark i poniósł. Tłum się rozprószył.

A mnie nikt nie podniesie? Pewno już nie, leż tu i umieraj. A życie takie jest piękne!... Onego dnia (w którym zdarzyło się to nieszczęście z psem) byłem szczęśliwy. Szedłem oszołomiony, o! tak, bo też było czem. Nie dręczcie mnie, wspomnienia, ostawcie wy mnie! Szczęście minione, obecne męki... bodajby zostały same męki, pocóż mnie dręczą wspomnienia, zmuszające do zestawień. Och, tęsknico, tęsknico! Tyś gorsza od ran...

Jednakże, gorąco się robi. Słońce praży. Otwieram oczy, widzę te same zarośla, to samo niebo, tylko w świetle dnia. A, oto mój sąsiad. Tak, to Turek, trup. Jaki olbrzymi. Poznaję go, to ten sam.

Przedemną leży człowiek, którego ja zabiłem. Za co ja go zabiłem?

Leży tutaj martwy, w posoce zakrzepłej krwi. Poco go los tu zapędził? Kto to taki? Być może i on ma, tak jak ja sam, matkę staruszkę. Długo będzie ona, siadując wieczorami na progu ubogiej lepianki, wyglądać z północy dalekiej, czy też nie wraca jej syn jedyny, jej pracowity żywiciel?

A ja? Ja także... Jabym się nawet z nim pomieniał losem: on już nie słyszy nic, nie czuje ni bolu od ran, ni śmiertelnej tęsknicy, ni pragnienia... Bagnet przebił mu samo serce... Znać na mundurze wielki czarny otwór, dokoła niego krew. To — ja uczyniłem.

Ja nie chciałem tego, ja nikomu źle nie życzyłem, idąc na wojnę. Myśl o tem, że i ja będę zabijał ludzi, uchodziła mojej uwagi. Nie zastanawiałem się nad tem, skupiony w zamiarze, by swoją tylko pierś nadstawiać pod kule. Poszedłem i nadstawiłem.

No i cóż? Głupiś, głupi! A ten nieszczęsny fellah (w egipskim mundurze) — mniej jeszcze zawinił. Zanim ich napchano, jak śledzi w beczkę na okręt i powieziono do Konstantynopola, nie słyszał on ani o Rosyi, ani o Bułgaryi. Kazali mu iść, więc poszedł. Gdyby się był opierał, dostałby był chłostę, a kto wie, może basza byłby strzelił mu w łeb z rewolweru. Pieszo odbył długi, uciążliwy marsz od Stambułu do Ruszczuka. Myśmy napadli, on się bronił. Widząc jednak, że my ludzie straszliwi, nie bojąc się jego patentowanej angielskiej gwintówki, wciąż naprzód i naprzód się pchamy — zląkł się. Chciał uciec, gdy wtem jakiś mały człowieczek, którego mógłby był zabić jednem uderzeniem czarnej swej pięści przyskoczył i wbił mu bagnet w serce.

Cóż on zawinił?

I co ja zawiniłem, choć jestem jego zabójcą? Cóżem zawinił? Za co mnie śmiertelnie dręczy pragnienie?

Pragnienie! Czy wie kto, co ten wyraz oznacza! Wtedy nawet, gdyśmy szli przez Rumunię, przebywając marszami w okropne czterdziestostopniowe spiekoty po pięćdziesiąt wiorst odrazu, wtedy nawet nie odczuwałem tego co czuję teraz. Ach, żeby się kto zjawił!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawca: Spółka Akcyjna Wydawnicza we Lwowie
Redaguje komitet
Drukiem Artura Goldmana, Lwów, Sykstuska 19.
Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Olearczuk.